

## **Marcin Furdyna: Tańce polskie**

Narody krwawią i wykrwawiają się na podobieństwo ludzkie



*Umiera pokonana, umiera zwycięska.*

**Wierzyński**

Narody krwawią i wykrwawiają się na podobieństwo ludzkie

Klęska w bitwie na Białej Górze i następujące po niej represje skutecznie hamują rozwój narodu czeskiego na ponad dwa stulecia. Państwo francuskie wykrwawia się w nieustannych wojnach za Burbonów, osiągając szczyt swej potęgi pod rządami Ludwika XIV. Od czasów rewolucji 1789 r., wraz z jej *levée en masse* krwawi już nie tyle państwo, co naród – w napoleońskich kampaniach, w rewolucjach wewnętrznych i wojnach zewnętrznych. Wysiłek poniesiony przez Francuzów podczas „wielkiej wojny” przynosi w roku 1940 owoce katastrofalne. Rozumie to bohater spod Verdun, marsz. Pétain, kiedy przemawia przez radio: „Składam swą osobę Francji w ofierze, celem pomniejszenia jej cierpień”.

Krwawią w wywołanych przez siebie wojnach Niemcy; już nie po kostki, a po kolana brodzą we krwi narody – z rosyjskim na czele – w konsekwencji bolszewickiej zawieruchy. Chyba tylko mądra polityka Anglii, która nie prowadzi wojen zewnętrznych inaczej jak w koalicji, walcząc do ostatniego żołnierza swego sojusznika potrafiła uniknąć złożenia podobnej dani krwi przez naród angielski.

Krew polska wsiąkła w ziemię większości kontynentów, z czego każdy Polak musi być dumny. Mamy w pamięci słowa hetmana Żółkiewskiego, który nalega w swym testamencie, aby – jeśli polegnie z dala od ojczyzny – tam go pochować, gdzie zginie: „żeby grób mój był kopcem Rzeczypospolitej granic”. Ale krew polska ma właściwości podobne krwi innych narodów, wzorem dawnych praktyk medycznych puszczanie jej zbyt często, zbyt obficie czy w nieodpowiednich momentach może organizm znacznie osłabić.

## **Polskie, arcy-polskie**

Poglądy najwygodniej przedstawiać w oparciu o coś, w konfrontacji do innych poglądów. Otwieram oto „Kinderszenen” Jarosława Marka Rymkiewicza. W rozdziale pt. „Co się stało na Wąskim Dunaju” czytam zdania niezwykle odważne: „(...) Powstanie zwyciężyło. Dowód na to, dobrze widoczny, całkowicie wystarczający, jest tuż obok, wokół nas – i my wszyscy, którzy teraz tu żyjemy, też jesteśmy tym dowodem. Tym dowodem jest niepodległa Polska. Komenda Główna i Delegatura Rządu na Kraj po to właśnie podjęły decyzję o wybuchu Powstania – żeby osiągnąć właśnie taki, a nie inny skutek”.

Nie jestem zwolennikiem zaglądania w metryki osób, z którymi polemizuję. Lektura książki Rymkiewicza nie pozwala mi jednak zapomnieć, że mam do czynienia z poetą. Jakże poetyckim wydaje się sąd, że bez warszawskiego powstania nie byłoby niepodległej Polski...

Jakie to polskie – arcy-polskie. Okulicki na naradzie Komendy Głównej Armii Krajowej w lipcu 1944 r. wypowiada znamienne słowa: „Musimy się zdobyć na czyn, który wstrząśnie sumieniem świata”. Wierzyński w gorzkim wierszu napisanym po Jałcie temu sumieniu świata chce... splunąć w twarz.

O! ileż racji było w zarzucie Bismarcka, który nazywał Polaków poetami w polityce, politykami w poezji.

Otóż wszystkie polskie zrywy narodowe miały przynajmniej dwie cechy wspólne: po pierwsze – obracały wzrok na pomoc państw zachodnich; po wtóre – były obliczone na skutki natychmiastowe, namacalne, wymierne. Decydenci powstania warszawskiego widzieli wielką, silną i niepodległą Polskę – ale bezpośrednio po zakończeniu wojny. Nadzieje te były potem karmione oczekiwaniem na wybuch trzeciej wojny światowej pomiędzy państwami zachodnimi a Związkiem Sowieckim. Zdaje się, że autor „Kinderszenen” zbyt jednak przeceniał dalekowzroczność polskich polityków i wojskowych...

W sporze pod tytułem: „Bić się czy nie bić?” zajmuję pozycję: bić się – ale tylko wtedy, kiedy walka nie jest kompletnie beznadziejną. Stoję na stanowisku, że powstanie warszawskie nie mając najmniejszych szans na sukces militarny, nie mogło być także zdyskontowane politycznie, a przez to było przedsięwzięciem chybionym. Nie miało ono nic z tego listopadowego zrywu dziewiętnastowiecznego, kiedy *szczęście było tak wozmożno, tak blisko*. Należało w tym beznadziejnym położeniu, w jakim znalazła się Rzeczpospolita, dążyć raczej do zachowania narodowej substancji, nie przelewając darmo krwi polskiej. Zwycięstwo – jak chce Rymkiewicz – dyskontowane po latach uważam za niewystarczające, absolutnie nieproporcjonalne do poniesionych strat.

Stanowisko podobne w tamtych wojennych czasach zajmował gen. Sosnkowski, lecz stanowiska tego nie potrafił obronić.

**Oskarżam!**

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Adolf Bocheński, ten *wunderkind* polskiej myśli politycznej, wylewa na Jana Erdmana kubek zimnej wody: „Czy ty nie zdajesz sobie sprawy co się stało? Jeśli Niemcy wygrają pomimo wszystko zginiemy. Jeśli wygrają alianci znajdziemy się w sowieckiej orbicie”.

Napisałem wyżej o złudzeniach dotyczących możliwości politycznego zdyskontowania powstania. Biorę całkowitą odpowiedzialność za te słowa.

Otóż:

Notą z 25-go kwietnia 1943 r. ZSRS zrywa na tle sprawy katyńskiej stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. W pierwszych dniach stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekracza przedwojenną granicę Polski, ustaloną traktatem ryskim z 1921 r. Wreszcie w lipcu 1944 r. powstaje Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego z Osóbką-Morawskim na czele.

Stanisław Mikołajczyk, następca gen. Sikorskiego na stanowisku premiera, podejmuje rozmowy z rosyjskim ambasadorem Lebediewem w sprawie przywrócenia polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. Jednak warunki jakie stawia Lebediew, tj. uznanie linii Curzona za wschodnią granicę Rzeczypospolitej, gruntowna rekonstrukcja polskiego rządu oraz uznanie zbrodni katyńskiej za zbrodnię niemiecką – nie dają szans na porozumienie.

Podczas swej pierwszej podróży do Moskwy w końcu lipca 1944 r. Mikołajczyk zatrzymuje się w Kairze, gdzie dochodzą go doniesienia prasy o podpisanym porozumieniu między ZSRS a PKWN dotyczącym administracji zajętych przez Armię Czerwoną ziem oraz ustalenia ws. polskiej granicy wschodniej. Wicepremier Kwapiński odradza premierowi dalszą podróż, czyni to jednak bezskutecznie.

Mikołajczyk przybywa do Moskwy de facto w roli petenta. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli nie zgodzi się – a tego zrobić nie mógł – na warunki postawione przez Stalina, nie ma szans na odwilż w relacjach polsko-sowieckich. Jeśli zaś nie dojdzie do porozumienia – Warszawa jest zdana na łaskę Kremla, Warszawa zginie jeśli Sowiety tylko tego zechcą, bo mocarstwa zachodnie nie kiwną palcem, aby wbrew Rosji walczyć o interesy polskie. Ponadto jeżeli komuniści wzywają do powstania należy doszukiwać się w tym drugiego dna, bo przecież nie od dziś wiadomo, że w grze międzynarodowej Rosji przypada rola szulera.

Wizyta moskiewska, prócz mglistego zapewnienia Stalina o pomocy dla walczącej stolicy danego w ostatnim dniu pobytu naszego premiera, nie przynosi żadnych rozwiązań.

Ale wróćmy do mocarstw zachodnich, w których Polacy pokładali tyle nadziei.

Mikołajczyk był człowiekiem szalenie ambitnym, który podczas wojny w rekordowo krótkim czasie nauczył się od podstaw języka angielskiego. Mikołajczyk nie był wirtuozem politycznym, do jego poczucia realizmu można mieć poważne zarzuty. Ale ten sam Mikołajczyk nie był człowiekiem głupim! W czasie rozmowy z gen. Sosnkowskim i gen. Kukielem odbytej 3-go lipca 1944 r. na pytanie tego pierwszego: czy państwa anglosaskie mogą dać nam jakąkolwiek gwarancję w związku z rozwiązywaniem sporu polsko-sowieckiego – premier odpowiada negatywnie. Państwa zachodnie nie będą narażać przymierza z Sowietami, żeby wojować o postulaty polskie. Dobitnie dał temu wyraz Churchill w mowie z lutego tr. oświadczając: „Nie gwarantowaliśmy nigdy żadnej określonej linii granicznej dla Polski” – co było oczywistym pogwałceniem pkt. 3-go tajnego protokołu załączonego do polsko-angielskiego układu o wzajemnej pomocy z 25-go sierpnia 1939 r.

W drugiej połowie lipca 1944 r. rząd nasz informuje władze angielskie (lecz nie uzgadnia tego z nimi) o planowanej akcji wojennej w Warszawie. 28-go lipca podsekretarz stanu w brytyjskim Foreign Office sir Alexander Cadogan udziela odpowiedzi ambasadorowi polskiemu w Londynie Edwardowi hr. Raczyńskiemu na wystosowaną dzień wcześniej prośbę ewentualnej pomocy w formie: 1) wysłania do Warszawy polskiej brygady spadochronowej przebywającej na terenie Wielkiej Brytanii; 2) zbombardowania przez RAF lotnisk niemieckich w okolicach miasta; 3) wysłania dywizjonów Mustangów lub Spitfire'ów na lotniska opanowane przez AK podczas walk. Cadogan udziela odpowiedzi... negatywnej!

Rząd polski znajduje się w następującym położeniu: stosunki dyplomatyczne polsko-sowieckie nie istnieją, ewentualne ich nawiązanie uzależnione jest od spełnienia rosyjskich żądań; Armia Czerwona znajduje się na terytorium Polski; Stalin popiera PKWN jako przyszłych administratorów kraju; państwa zachodnie nie dają żadnej gwarancji poparcia dla rządu polskiego w związku z przełamywaniem impasu polsko-sowieckiego; państwa zachodnie uznają poważną pomoc wojskową dla walczącej Warszawy za niemożliwą.

I Mikołajczyk, który zdaje sobie z tego położenia sprawę, pozwala na wybuch powstania! Odpowiadam Rymkiewiczowi – tak, było to nic innego jak czyste szaleństwo.

1-go sierpnia 1944 r. Warszawa rozpoczyna działania zbrojnie przeciw Niemcom. Dzienniki hr. Raczyńskiego są wspaniałym świadectwem tego, że rząd polski nie ustawał w interwencjach u aliantów w celu organizacji pomocy dla walczącej stolicy. Z kolei pamiętniki Churchilla są znakomitym przykładem jakie trudności organizacja ta napotykała, lecz przede wszystkim – w jakim stopniu państwa zachodnie liczyły się ze zdaniem Stalina, poświęcając na ołtarzu dobrych stosunków trzech mocarstw walczących z Niemcami – interes Polski.

Podczas swej drugiej wizyty moskiewskiej w październiku 1944 r., gdy Mikołajczyk powołał się na walczące wojsko polskie, Churchill miał ryknąć: „Zabierz pan sobie to wojsko polskie. Ja go nie potrzebuję!”

„Oto jak nas, biednych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi...”

Taktyka państw zachodnich względem Polski wyrażała się w tej anegdocie, kiedy na meetingu w Newcastle pewien mówca oświadczył: „To prawda, że niektóre państwa wyjdą z tej wojny uszczuplone terytorialne. Ale pociechą im będzie, że Imperium Brytyjskie będzie nadal równie rozległe i potężne jak dawniej...”

Mikołajczyk zachowywał się w swych decyzjach politycznych jak ten lekarz z czasów Almrotha Wrighta, który w oparciu o popularną wówczas auskultację opukał klatkę piersiową pacjenta i wyrzekł: „Wydaje mi się, iż wykryłem zarazki influenzy... uchem”.

## **Urwany krzyk**

Szanuję zdanie Rymkiewicza, ale go nie podzielam. Twierdzę, że zrywowi, którego skutki można było przewidzieć, trzeba było zapobiec. Moja polemika musi jednak zgąć kark przed poglądem autora „Kinderszenen”, kiedy pisze: „W Powstaniu Warszawskim widzimy teraz wielki narodowy poryw, wielką eksplozję narodowych i obywatelskich uczuć. Bardzo słusznie. To było właśnie coś takiego i nasze dzieci oraz wnuki powinny dowiadywać się w szkołach, że w tej wspaniałej eksplozji dały o sobie znać wszystkie najlepsze cechy narodowego charakteru Polaków”.

W czasie dogasania powstania styczniowego Grottger rysuje cykl obrazów pt. „Tańce polskie”, przedstawiając sceny agonii, egzekucji, pochodów w kajdanach. Pamięć o powstaniu warszawskim, te wszystkie

zdjęcia i wspomnienia pełnią dziś właśnie taką grottgerowską funkcję: ściskają serce, podniecają ducha, nie pozwalając mu zgasnąć.

Ale...

Piłsudski, bezsprzecznie najcięższego kalibru polityk polski zeszłego stulecia, przecież dziecko 1863 r. – za największe nazwisko tamtych czasów uważał nikogo innego, tylko margrabiego Wielopolskiego.

Powstanie warszawskie przypomina okrzyk Józefa Kapuścińskiego, emisariusza Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, gdy wieszano go w Kleparowie pod Lwowem. Kapuściński wołał: „Bracia, nie dajcie się odstraszyć śmiercią mo...”. Urwany ten głos brzmiał rzecz jasna dużo donośniej w 1944 r., bo mówimy w tym wypadku o krzyku stolicy. Krzyk został i dźwięczy nam w uszach, ale Warszawę – powieszono.

Staram się zrozumieć przeciwny sposób myślenia, ale nie mogę mieć wątpliwości, że powstanie było porażką. Było wydarzeniem, które najlepiej wpisuje się w hasło: „Gloria victis!”.

W polityce – bo ani na chwilę od niej nie odeszliśmy – nie ma jednak miejsca na podobne hasła, konsyderacje takie należy odrzucić jak najdalej. Gorzką tę prawdę trzeba raz na zawsze wbić sobie do głowy.

*Marcin Furdyna*